

Historia jednego obrazu

Władysław Wankie Ostrygarki, ok. 1920

Od redakcji:

Kontynuujemy dokumentację ze spotkań z cyklu *Historia jednego obrazu* organizowanych przez Piotra Borowskiego i zespół Studium Teatralnego w Warszawie przy ulicy Lubelskiej. O idei tych spotkań patrz rozmowa z Piotrem Borowskim w: „Konteksty”, nr 2-3/2011, s. 338-347, także dokumentacja z pierwszego spotkania (s. 348-363). Kolejne, poświęcone Józefowi Czapskiemu i Januszowi Przewłockiemu – patrz „Konteksty” nr 4/2011, s. 202-218. O obrazie Luka Giordano *Trzej królowie*, patrz nr 1-2/2012, s. 332-345. O obrazie Jerzego Ficowskiego i Urodzinach Poety, także s. 346-361.

W prezentacji obrazu Władysława Wankie *Ostrygarki*, ok. 1920 udział wzięli:

Joanna Wolfram – właścicielka obrazu /
Agnieszka Rosales Rodríguez – historyk sztuki /
Wojciech Marchlewski – etnograf /
Assi Kootstra – grafik
Natalia Kootstra – kuchnia holenderska

Piotr Borowski: Po prezentacji obrazu Luka Giordano pani Joanna Wolfram powiedziała, że ma obraz Władysława Wankiego, że to malarz, Polak pochodzenia holenderskiego, że obraz kupił dziadek jej męża od samego autora, który też był pochodzenia holenderskiego, że obraz miał dziurę od kuli z powstania warszawskiego i, że jeśli zechcemy, to możemy go pokazać.

Zadzwoiłem do Wojtka Marchlewskiego, który na studiach pisał pracę o holenderskich mennonitach, a z którym przyjaźnię się od 30 lat, potem do Assiego – Holendra, który od wielu lat jest w Polsce, z którym też się przyjaźnię i, którego wykorzystuję do robienia folderów reklamowych dla naszego Studium Teatralnego; jak zwykle skontaktowałem się też z Antonim Ziembą, który na ten wieczór polecił historyczkę sztuki, panią Agnieszkę Rosales Rodríguez.

Dzięki tym wszystkim osobom zacząłem odkrywać Holendrów w Polsce, inaczej patrzeć na Saską Kępę, która była pływającą wyspą i którą Holendrzy osuszali, na ulicę Młynarską, na rondo Wiatraczna – wyobrażałem sobie młyny i wiatraki, po których pozostały tylko nazwy.

CUDZOZIEMCY. HOLLAND / POLAND



CZYLI KOLEJNA
HISTORIA JEDNEGO OBRAZU



Władysław Wankie
Ostrygarki, ok. 1920

19 LISTOPADA 2011 / GODZ. 19

Joanna Wolfram właścicielka obrazu / Agnieszka Rosales Rodríguez historyk sztuki /
Wojciech Marchlewski etnograf / Assi Kootstra holender / Natalia Kootstra kuchnia holenderska

Bardzo serdecznie dziękuję pani Joannie Wolfram za chęć wzięcia udziału w dzisiejszym wieczorze oraz za udostępnienie publiczności tego wspaniałego obrazu. Pragnę też bardzo gorąco podziękować pozostałym uczestnikom wieczoru: pani Agnieszce Rosales Rodríguez, historyczce sztuki, Natalii Kootstra, która przygotowała tradycyjne potrawy holenderskie, Wojtkowi Marchlewskiemu, etnografowi, który opowie nam o Holendrach w Polsce, Assiemu Kootstra i Piotrkowi Aleksandrowiczowi za przygotowanie specjalnego rowerowego performance'u.

Chciałbym zaznaczyć, że cykl *Historia jednego obrazu* ma za zadanie tworzyć obywatelski ruch kultury poprzez spotkania z ludźmi, którzy od pokoleń są wpisani w tkankę tego miasta. Historie ich życia opowiadane na tle obrazu – tego niemego świadka – historie fragmentarycznie splecione i uwikłane w wielkie wydarzenia z przeszłości, sprawiają, że pragnę je powiązać, by znaleźć zagubione lub stracone związki, które coraz trudniej wychwycić w tym pokawałkowym świecie.

Na sąsiedniej stronie wewnątrz Studium Teatralnego na Lubelskiej, uczestnicy spotkania: (na rowerach) Assi Kootstra i Piotr Aleksandrowicz podczas performanc'u Rodedans, patrz dalej. Fot. Natalia Kootstra.

Malarstwo Wankiego cenione przez współczesnych, wkrótce po śmierci artysty na wiele dziesięcioleci zostało niemal zupełnie zapomniane. Po raz pierwszy jego dzieła przypomniano na wystawie jubileuszowej sztuki warszawskiej, zorganizowanej w 1962 w Muzeum Narodowym w Warszawie

źródło: culture.pl



JOANNA WOLFRAM

Władysław Wankie, Ostrygarki II

Listopadowe spotkanie z cyklu *Historia jednego obrazu* poświęcone było *Ostrygarkom* Władysława Wankiego. Obraz „od zawsze” należał do rodziny Wolframów. Opowieść ma fascynujący wątek polsko-holenderskiej historii obu rodzin oraz artystyczny, związany z działalnością grupy Pro arte.

Pierwsze wzmianki o pojawieniu się w Warszawie protestantów pochodzą z czasów Stefana Batorego, gdy na ulicy Leszno powstał cmentarz dla „niekatolików”. Dopóki w Warszawie nie było parafii ewangelickiej, na nabożeństwa jeżdżono do Węgrowa, należącego do Radziwiłłów. Dopiero w latach 1771-81 zbudowano zaprojektowany przez Piotra Teppera kościół (wtedy nazywany zborem) św. Krzyża, przebudowany później przez Szymona Zuga. W 1792 roku powstał cmentarz na ulicy Młynarskiej, funkcjonujący do dziś.

Ewangelicy holenderscy, prześladowani przez katolickich Habsburgów, osiedlali się w okolicach Gdańska, Elbląga i Torunia. Dotarli też w górę Wisły do

Warszawy. Nauczeni w ojczyźnie walki z morzem i osuszania ziemi, osiedlali się na podmokłych terenach – na Żuławach i rozlewiskach rzek. W Warszawie wybrali m.in. wyspę zwaną Kawczą, należącą do jurydyki na Solcu. W XVII wieku nazwano ich Olędrami, a wyspę – Olęderską (później Saską).

Samuel van Kee (1800-72) z Gdańska przybył do Warszawy i w okolicach dzisiejszej ulicy Młynarskiej założył pierwszy w mieście wiatrak, tzw. holender. W tym samym mniej więcej czasie poddany pruski Jakub Wolfram osiedlił się na Saskiej Kępie. Był dwukrotnie żonaty; z pierwszego małżeństwa z Habelmanówną miał kilkanaścioro dzieci, z drugiego z Karoliną Heinze trzech synów i dwie córki.

Obie rodziny, choć zachowały wyznanie przodków, szybko się polonizowały. Ich nazwiska przybierały uproszczoną pisownię, zgodną z polską wymową i ortografią. Nazwisko Van Kee najpierw przekształcono na Wanke, a Władysław posługiwał się formą Wankie. Wolframowie zaś „zgubili” nieme „H” (Wolfrahme). Dzieciom nadawano polskie imiona: Jakub, Edmund, Jan, Władysław. Rodzina Wanke spokrewniona jest z Andersami, Acherami, Hanemanami, Schoeneichami i Gerlachami. Wolframowie z Machlajdami, Heinzami, Schenkami, Fromami i Habelmanami. Ewangelicy potomkowie dawnych osadników brali udział w życiu społecznym – syn Samuela Jan Wilhelm był współzałożycielem Warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego, członkiem Towarzystwa Dobroczynnego i Towarzystwa Sztuk Pięknych Zachęta. Karol Edmund Wolfram Spółce Wodnej Obwodu Wawerskiego ofiarował grunty pod prace melioracyjne, był współpracownikiem prezydenta Stefana Starzyńskiego i współzałożycielem Towarzystwa Przyjaciół Saskiej Kępy.

Potomkowie obu rodzin, identyfikując się z wybraną ojczyzną, brali udział w walkach narodowowyzwoleńczych. Jan Wilhelm Wanke w powstaniu styczniowym, jego potomkowie w starciach podczas drugiej wojny światowej; Ryszard Stefan zginął w Katyniu, a Andrzej poległ w kampanii wrześniowej. Wiesław Karol Wolfram jako podporucznik walczył w kampanii wrześniowej, był jeńcem obozu w Woldenbergu, a jego brat Leszek Kazimierz służył w dywizjonie bombowym RAF-u.

Malarz Władysław Wankie (Wanke; 1860-1925) był wnukiem Samuela i synem Karola oraz Doroty z Gerlachów. Studiował u Wojciecha Gersona, w krakowskiej ASP i Monachium. W 1882 roku na wystawie w salonie Krywulta wystawił swój pierwszy obraz *Krajobraz jesienny*. W latach 1893-94 odbył ważną dla artystycznego rozwoju podróż nad Bałtyk i do Holandii, skąd wywodzili się jego przodkowie, oraz do „modnej” wówczas w kręgach malarskich Bretanii. Wankie



Joanna Wolfram. Fot. Natalia Kootstra.



Agnieszka Rosales Rodríguez. Fot. Natalia Kootstra.

był stałym współpracownikiem krakowskiego pisma „Sztuka”, warszawskiego „Świata” i „Tygodnika Ilustrowanego”. Napisał ponad 300 recenzji, wydawał jednodniówkę monachijską. Należał do grup Odlam i Pro arte.

W katalogu monograficznej wystawy, która odbyła się w 1989 roku w Muzeum Narodowym, o jego twórczości Lija Skalska-Miecznik napisała: „Są to różniące się tonacją wariacje kolorystyczne; materię malarską tworzy wibrująca mozaika plam barwnych, niewidoczne zachodzące słońce rozświetla ciemniejące na horyzoncie morze, odcienie kolorystyczne jaśniejszej partii morza powtarzają się w partii nieba. Harmonijna tonacja barwna, niekiedy bardzo wysmakowana dzięki wprowadzeniu akcentów czystych dźwięcznych barw różu, czerwieni, błękitu, umiejętne operowanie światłem, nastrój spokoju i ciszy nadaje tym typowo pracownianym obrazom swoisty urok”.

W latach 20. i 30. Karol Edmund Wolfram był zaможnym człowiekiem. Inwestował posiadane fundusze w zakup ziemi, budowę domów, które projektował za przyjaźniony z nim architekt Maksymilian Goldberg,

oraz kupno obrazów. Nabywał je od znajomych malarzy – mieszkającego na Saskiej Kępie Bronisława Kopyczyńskiego, czy należącego do tej samej parafii ewangelickiej Władysława Wankiego. Prawdopodobnie przez nich poznał Michała Wiktora Czepitę, należącego również do grupy Pro arte. Obrazy przetrwały wojnę w domu przy ulicy Paryskiej 2.

Inspirowane tematami bretońskimi *Ostrygarki* należą do cyklu około dwudziestu podobnych obrazów. Ciepła kolorystyka i złocista poświata spowodowały, że obrazy o tej tematyce znajdowały uznanie raczej w oczach mniej wymagających nabywców niż wytrawnych krytyków sztuki. Bardzo dobrze charakteryzują obraz i jego twórcę słowa Jana Lemańskiego z *Elegii* poświęconej malarzowi:

„wielbiciel barw jesiennych – skrzepłych jak w bursztynie

Alei, których liście opadłe szeleszczą”.

Władysław Wankie i Karol Edmund Wolfram spoczywają na tym samym cmentarzu przy ulicy Młynarskiej, a ich potomkowie nadal mieszkają i pracują w Warszawie.

AGNIESZKA ROSALES
RODRÍGUEZ

Władysław Wankie, Ostrygarki II, ok. 1920

Obraz, który mamy przyjemność oglądać, namalowany został przez potomka holenderskiej społeczności, przybyłej na tereny Rzeczypospolitej już w XVII wieku. W XIX stuleciu rodzina Wanke, bo tak pierwotnie brzmiało to nazwisko, znalazła się już w Warszawie, a dziadek artysty Samuel wybudował tu pierwszy wiatrak, zwany zresztą holendrem, przy ulicy Młynarskiej.

Urodzony w 1860 roku w ewangelickiej rodzinie Władysław Wankie wykształcony został najpierw w Warszawie w słynnej Klasie Rysunkowej Wojciecha Gersona, później trafił na krótko do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie zachwyił się osobowością i sztuką Jana Matejki. Śladów tej admiracji daremno jednak szukać w jego twórczości. Artysta nie miał bowiem temperamentu do malarstwa historycznego, w którym specjalizował się Matejko. Krakowski mistrz inspirował swoich uczniów do podejmowania przede wszystkim tematów z historii Polski, co odzwierciedlało rozumienie sztuki jako narodowej misji. Wankiego interesowały tymczasem nastrojowe, intymne scenerie, tematy rodzajowe i pejzaże, które wypełnią dalszą jego twórczość, choć pojawiają się w niej także tematy religijne.

Istotnym okresem w jego artystycznej karierze był pobyt w Monachium, gdzie trafił w 1882 roku i gdzie spędził ponad 20 lat. Wpływy monachijskiego środowiska artystycznego czytelne są także w prezentowanym dzisiaj obrazie. Stolica Bawarii już w początkach XIX wieku, dzięki prowadzonej z rozmachem polityce

kulturalnej Wittelsbachów, stała się ważnym europejskim ośrodkiem sztuki, reprezentowanym przez znakomite zbiory przechowywane w Starej i Nowej Pinakotece, Akademii Sztuk Pięknych i pracowniach jej profesorów. W tym prężnym międzynarodowym centrum studiowało wielu artystów z Europy Środkowej, w tym licznie przybywających do miasta Polaków, żeby wymienić choćby Józefa Brandta, Władysława Cza-chórskiego, Aleksandra Wierusza-Kowalskiego czy krótko bawiącego w Monachium Aleksandra Gierymskiego, który zostawił ślad w twórczości Wankiego. Otwarte środowisko monachijskie było w tym czasie konglomeratem rozmaitych nurtów i tendencji artystycznych, realizmu, naturalizmu i kielkującego symbolizmu. To właśnie tutaj w 1892 roku powstała pierwsza europejska Secesja, powołana przez tak wybitnych artystów niemieckich jak Franz von Stuck, Wilhelm Trübner czy Max Liebermann. Sam Wankie najprawdopodobniej nie pobierał regularnej nauki w Akademii, a jednak obecna w Monachium sztuka wybitnych realistów i naturalistów – Wilhelma von Leibla, wspomnianego Liebermanna czy Francuza Jules’a Bastien-Lepage – miała duże znaczenie dla jego twórczości. Był to zarazem okres pracy artysty na polu krytyki artystycznej – współpracy z wybitnymi polskimi czasopismami, jak „Sztuka”, „Wędrowiec” czy „Tygodnik Ilustrowany”.

Polski malarz fascynował się w Monachium krajobrazem i malarstwem rodzajowym, reprezentowanym w tym czasie zarówno poprzez historyzujące kostiumowe konwencje Artura von Ramberga czy Alberta Kellera, jak i zwykle, codzienne scenki w duchu realizmu. Tradycja takich banalnych tematów sięga romantyzmu. Przedstawienia malowniczych chłopów czy wiejskich scenerii poddawane były zaś swoistej sentymentalizacji. Realści, jak Jean-François Millet czy Gustave Courbet, uczynili je już ważnym obszarem krytyki stosunków społecznych, dając w ten sposób wyraz republikańskim przekonaniom. W końcu XIX wieku rozwija się moda na tzw. regionalizm, inspirująca artystów do poszukiwania tematów na terenie prowincji, lokalnych tradycji, obyczajów, ale też malowniczych scenerii i motywów. Rozluźnienie rygorów hierarchii gatunków artystycznych, na których szczycie znajdowało się aż do XIX wieku malarstwo historyczne, doprowadziło w drugiej połowie stulecia do zanegowania znaczenia wielkiego tematu, pozwoliło artystom eksplorować czysto malarzką urodę pejzażu i znajdujących się w nim postaci.

W takim kontekście można umieścić prezentowany tu obraz Władysława Wankiego, namalowany już w latach 20. XX wieku, a będący reminiscencją podróży do Bretanii i Holandii, przedsięwziętej przez artystę w latach 1893-94. Dzieło należy do serii obrazów inspirowanych wspomnieniami znanego kanału La Manche, przede wszystkim miejscowości Cancale, gdzie w plenerze malarz obserwował światło i wykonywał szkice.



Fot. Natalia Kootstra.

Władysław Wankie, *Ostrygarki II*, ok. 1920

Wyprawa do Holandii była nie tylko sentymentalną podróżą do kraju przodków. Już od pierwszej połowy XIX stulecia w kierunku tym wiodły artystyczne szlaki malarzy studiujących nad Morzem Północnym efekty światła i atmosfery, mgły i zachmurzone niebo, dramatyczne spektakle żywiołu natury, rybackie osady i porty, ale też malownicze zakątki w głębi lądu, stare młyny, wiejskie chaty, urocze kościołki. Podróżników już od dwóch stuleci fascynował sposób „urządzenia” Holandii, lądu wydartego morzu dzięki przemysłowości jej mieszkańców – system polderów i kanałów. Nie mniej przyciągała znakomita malarska tradycja „holenderskiej szkoły”, przeżywająca swój złoty wiek w XVII stuleciu, a reprezentowana przez tak uznanych pejzażystów jak Jacob van Ruisdael, Albert van Cuyp, Willem van de Velde czy Jan van Goyen.

Podróżowanie do Holandii wskutek ułatwień komunikacyjnych w XIX wieku przybrało charakter masowej turystyki, a fascynacja Niderlandami, objawiająca się w popularności holenderskich motywów i tematów, określana jest mianem holandyzmu czy wręcz holandomanii. Holendrzy, wedle jednej z dziewiętnastowiecznych klisz, to naiwni realiści, którzy z pieczołowitą starannością odwzorowali portret swojego kraju – rodzime scenerie i proste codzienne czynności. W drugiej połowie XIX wieku do tych korzeni powrócili artyści tzw. szkoły haskiej, współtworzący rodzaj kolonii artystycznej w okolicach Hagi, a malujący motywy rybackie i widoki morza. W tej właśnie

tradycji Władysław Wankie mógł znaleźć legitymację dla własnych poszukiwań artystycznych.

Warszawski obraz przedstawia jednak kobiety zbierające ostrygi na wybrzeżu Bretanii – regionu, który już od początku XIX wieku interesował badaczy. Celtycka przeszłość, odrębność języka, surowa obyczajowość i żywa kontreformatywna religijność Bretończyków od lat 30. i 40. XIX stulecia fascynowały artystów, którzy doceniali niezwykle kolorystę tej „dzikiej” krainy. Znużonych wielkomięskim zgiełkiem malarzy urzekł spokój, ład i prostota życia, przekładające się na walory krajobrazu. Od połowy wieku powstawały w Bretanii artystyczne kolonie, a bretońskie tematy pojawiły się na obrazach w paryskich salonach. Na kilka dekad przed przybyciem do Pont-Aven w 1886 roku Paula Gauguina i zafascynowanych jego osobowością artystów (m.in. Władysława Ślewińskiego) gościli w Bretanii zarówno artyści europejscy, jak i Amerykanie. W latach 90. XIX wieku Bretania była już modna i znana. W bretońskiej twórczości Wankiego nie chodzi jednak o etnograficzną ścisłość, lecz o prostotę motywu, dekoracyjność scenerii, starannie wystudiowane efekty świetlne.

Do tematyki, która zafascynowała go w latach 90., artysta powracał wielokrotnie, także po kilku dekadach – z tego okresu pochodzi prezentowany obraz, wykonany wedle tradycyjnej akademickiej zasady, czyli na podstawie sporządzonych wcześniej w plenerze szkiców i studiów olejnych. Oglądany przez nas artystyczny efekt nie jest więc owocem impresjonistycznej

Władysław Wankie, *Ostrygarki*, ok. 1920

Fot. Natalia Kootstra.

rejestracji zjawiska, utrwaleniem wrażenia, choć złudzenie to wywołuje często malarski kadr, pozornie przypadkowy, zarejestrowany niejako „mimocho-dem”. Obraz został wypracowany w atelier artysty, a potwierdzeniem tej akademickiej praktyki są w twórczości malarza liczne modyfikacje tych samych motywów, dbałość o modelunek światłocieniowy.

Obrazy Władysława Wankiego cenione było za jego życia za niezwykłą nastrojowość i efekty kolorystyczne – a więc za walory podziwiane właśnie w malarstwie monachijczyków. Nie przypadkiem w środowisku tym święcił triumfy Szwajcar Arnold Böcklin i stawiał pierwsze artystyczne kroki późniejszy twórca abstrakcji, Wassily Kandinsky (jego dzieła z końca lat 90. mieszczą się zresztą w formule nastrojowego symbolizmu, ku któremu skłaniał się Wankie). Naznaczone liryzmem i urzekające bogatymi harmoniami barwnymi obrazy naszego malarza były chętnie kupowane, a popyt ten wyjaśnia potrzebę malowania licznych powtórzeń i wariantów popularnych kompozycji – najczęściej piaszczystych plaż z postaciami rybaków i rybaczek w charakterystycznych bretońskich czepcach, łagodnie wtopionymi w pejzaż bezkresnego morza. Obraz daleki jest jednak od anegdotyczności, malowany sumarycznie uwydatnia przede wszystkim zalety czysto malarskie: świetlno-kolorystyczną feerię, gęstą farbę, w której operuje pędzel. Posiada też właściwą twórczości artysty nutę subtelnej melancholii.

Mieszkają wśród Polaków potomkowie Holendrów. W opowieściach rodzinnych odwołują się do swoich holenderskich korzeni. Poszukują swoich antenatów w zamierzonych dziejach Polski w XVI wieku, kiedy to do Gdańska zawitali pierwsi uciekinierzy z Niderlandów. Mieszkali również w okolicach stolicy, a nawet w samej Warszawie. To też prawda, lecz należy zaznaczyć, że pojawili się tu znacznie później. Wyjaśnienie zawiłych i skomplikowanych dziejów Holendrów nie jest przedsięwzięciem prostym ani łatwym. Dla mnie jako badacza osadnictwa olęderskiego przybycie Holendrów na ziemie polskie wiąże się ściśle z wojnami religijnymi na terenach Niderlandów i losami mennonitów. Mogę spotkać się z zarzutem, że w XVI wieku w Gdańsku mieszało przecież wielu Holendrów, a nie wszyscy byli mennonitami. Z pewnością to święta prawda. Ja mam zamiar w swojej opowieści o Holendrach nawiązać do wydarzenia, jakie miało miejsce w Warszawie na ulicy Lubelskiej w trakcie spektaklu *Historia jednego obrazu*. W trakcie prezentacji obrazu Władysława Wankie, *Ostrygarki* z roku 1920, potomkowie twórcy płótna wskazali wyraźnie na swoje holenderskie powiązania i związki z tamtejszą kulturą. Kim zatem byli owi Holendrzy, którzy zamieszkali w okolicach Warszawy w połowie XVIII wieku? Aby wyjaśnić ich zawiłe losy, ponownie musimy się cofnąć do XVI wieku, do bogatego hanzeatyckiego miasta – Gdańska...

Przez Europę przetaczają się wojska zwolenników i przeciwników koncepcji Marcina Lutra. Pojawili się radykalni reformatorzy, tacy jak Zwingli, głoszący powrót do ascetycznych wartości pierwszych chrześcijan, odrzucający chrzest dzieci oraz podważający boskie pochodzenie władzy świeckiej.

Zwolennicy powtórnego chrztu nie stworzyli jednego kościoła, byli rozdrobnieni i działali w grupach prowadzonych przez charyzmatycznych przywódców. Wokół nich skupiali się również zrewoltowani chłopci i biedota miejska. Rewolta anabaptystów w końcu lat 30. XVI wieku objęła północne księstwa Rzeszy Niemieckiej oraz Niderlandy.

Wśród liderów ruchu anabaptyzmu we Fryzji znaleźli się Sicke Frerix, który założył pierwszą gminę swoich wyznawców w Leeuwarden. Jan Volckertsz założył w tym samym czasie pierwszą gminę anabaptystów w Amsterdamie. Obydwaj przywódcy zostali schwytani i ścięci. Narażeni na represje chłopci i biedota miejska poczęli opuszczać Niderlandy, przenosząc się na teren Dolnych Niemiec oraz do Gdańska. Reakcją na represje stała się radykalizacja poglądów religijnych. Celem anabaptystów był już nie tylko powtórny chrzest dorosłych, również stworzenie Królestwa Bożego na ziemi. W roku 1530 przywódca mennonitów Melchior Hoffman ogłosił się prorokiem i przepowiedział stworzenie Nowego Jeruzalem.

Jednym z kaznodziei, który zyskał uznanie wielu wiernych, był Menno Simon. Głosił on, że istotą życia

WOJCIECH MARCHLEWSKI

Holendrzy w Polsce

na ziemi jest przestrzeganie zasad ogłoszonych przez Chrystusa w czasie Kazania na górze, dbanie o słabych i biednych, porzucenie miecza i przemocy. Uważał również, że przyjmowanie wszelkich godności świeckich czy kościelnych jest sprzeczne z zasadami wiary. Na mennonitów spadać zaczęły represje, byli ścigani w państwach Rzeszy i w Niderlandach. Podważając zasady życia religijnego oraz aksjomat pochodzenia władzy świeckiej od Boga, stali się wrogiem publicznym. Anabaptyści byli chwytni, poddawani okrutnym torturom i paleni na stosach. Za sprawą hiszpańskiej regentki Niderlandów Anny największe represje spotkały mennonitów w Niderlandach. Sytuacja zmusiła część z nich do zejścia do podziemia, inni ruszyli w podróż do ziemi obiecanej. Korzystali ze szlaków handlowych, które wiodły do Gdańska, mającego szerokie kontakty gospodarcze z Rzeszą Niemiecką i Niderlandami.

W tym samym czasie rada miasta Gdańska poszukiwała osadników, którzy mogliby zagospodarować tereny wyniszczone wojnami z Zakonem Krzyżackim. W roku 1547 wysłała swojego przedstawiciela Philipa Edzema do Niderlandów w celu pozyskania osadników na tereny zalewowe delty Wisły. Podobnie uczynili radni Elbląga oraz inni właściciele ziemscy, w tym opat Pelplina czy biskup Włocławka. Osadnikom z Niderlandów oferowano szerokie swobody religijne. Należy sądzić, że pierwsi anabaptyści zaczęli pojawiać się w Gdańsku już w latach 30. XVI w. wraz z nasileniem się represji. Wtedy też poznano ich umiejętności gospodarowania na morskich terenach zalewowych oraz w deltach rzek. Budowali systemy melioracyjne, wspierane przez wymyślny system pomp odprowadzających wodę z położonych w delcie polderów. Na wrywanej morzu lub rzece ziemi budowali systemy wałów i kanałów, a następnie tworzyli pastwiska dla bydła i owiec. Podstawą utrzymania była produkcja serów. Tworzyli organizację społeczną zwaną *ghents*. Podobnie jak wcześniejsi uchodźcy z Fryzji, mennonici – głównie wykwalifikowani rzemieślnicy – osiedlili się w Gdańsku i Elblągu. W końcu XVI w. rozpoczęli marsz wzdłuż Wisły, aby pod koniec XVIII w. osiedlić się na Saskiej Kępie.

Mennonici osadzani byli według zasad określanych mianem prawa olęderskiego. Zapoczątkowana przez nich w XVI wieku działalność gospodarcza na terenach zalewowych dała bardzo dobre rezultaty – osadnikom udało się, dzięki posiadanym specyficznym umiejętnościom, osuszyć i zagospodarować tereny zalewowe. Ze względu na fakt, że umiejętności te znane były tylko nielicznym, stworzono dla nich odrębny pod względem prawnym i gospodarczym status. Z powodu odmiennego od powszechnie obowiązującego sposobu dzierżawienia przez chłopów ziemi, osadnictwo olęderskie należy rozpatrywać jako system społeczno-gospodarczy, na który składały się powiązane ze sobą elementy: status prawny dzierżawców, organizacja społeczna i terytorialna, sieć osadnicza, budownictwo i technika rolna. Podstawą dzierżawy ziemi był kontrakt określający zasady gospodarowania. Ze względu na to, że osadników osiedlano na terenach zalewowych, do tej pory niezagospodarowanych, musieli oni w pierwszym rzędzie wykarczować oraz osuszyć przydzielone im grunty. Kontrakt przewidywał siedem lat na wykonanie tej pracy. W tym czasie osadników zwalniano z wszelkich podatków oraz robocizny na rzecz właściciela ziemi. Sądzić należy, że po wykonaniu prac karczunkowych na wyznaczonych działkach i po wygaśnięciu umowy koloniści przenosili się na inne tereny, poszerzając w ten sposób obszar użytkowanej ziemi.

Jeszcze w XVII wieku termin „olędrzy” oznaczał pochodzenie etniczne i wyznanie kolonistów, identyfikowane jako mennonickie. Dla siedemnastowiecznego mieszkańca doliny dolnej Wisły istotnym elementem identyfikacji była społeczność, w której żył. Wyznawcami tej społeczności były język oraz religia, a dla mennonitów również nazwiska i prawdopodobnie przywiązanie do fryzyjskich wspólnot *ghents*. W piśmiennictwie mennonickim powszechnie uważa się, że mennonitów żyjących w Prusach w latach 1540-1790 uznawano za grupę etniczną, gdyż byli to przeważnie odizolowani niderlandzcy koloniści, żyjący w delcie Wisły, gdzie wiodli żywot tradycyjnych wspólnot dolnoniemieckich i holenderskich. W wieku XVI i XVII tylko niektórzy olędrzy wywodzili się z holenderskich mennonitów. Znajdowali się wśród nich również osadnicy innych wyznań protestanckich z terenu zachodniej Fryzji, niebędącej częścią Niderlandów. Również oni posiadali umiejętności gospodarowania na terenach zalewowych. Podstawowym wyróżnikiem nie było wyznanie czy język, lecz status prawny olędrów – wolnych chłopów dzierżawiących ziemię w oparciu o kontrakt.

Na początku XVIII wieku koloniści zagospodarowali teren dolnej Wisły. Byli wśród nich ewangelicy i mennonici z przewagą tych pierwszych. Pierwszy rozbiór Polski sprawił, że olędrzy, w tym mennonici, dostali się pod panowanie Prus. Ich status uległ gwałtowniej

zmianie. Do tej pory wolni, związani jedynie kontraktem z właścicielem ziemi, stali się poddanymi Fryderyka II, który z wielką podejrzliwością patrzył na poddanych odmawiających służby wojskowej. Władca uważał bowiem, że dla korzystających z licznych przywilejów chłopów obrona ojczyzny jest podstawowym obowiązkiem. Część olędrów przyjęła obowiązek narzucony przez państwo pruskie. Inni, chcąc zachować status „bezpaństwowców” i cieszyć się dotychczasowymi przywilejami, przenieśli się na tereny Rzeczypospolitej, gdzie zostali zaproszeni przez polskich właścicieli oraz dzierżawców królewskich. Osadzili się w okolicach Płocka oraz na skraju Puszczy Kampinoskiej. Tak jak wcześniej, wykorzystano ich umiejętności w gospodarowaniu na terenach zalewowych. Wtedy też z całą pewnością olędrzy dotarli do Warszawy, Augustówki, Brzeziny, Kępy Tarchomińskiej, Kępy Zawadowskiej, Saskiej Kępy, Tarchomina. Uważa się, że pierwsze ślady bytności olędrów w Warszawie można datować na 1628 rok, kiedy to wydzierżawiono im ziemię obecnej Saskiej Kępy. Nie zagościli tu jednak zbyt długo i opuścili je przed wygaśnięciem kontraktu. Forma prawna zwana prawem olęderskim, pochodząca z XVI wieku, przestała być praktykowana wraz ze zniknięciem Rzeczypospolitej z mapy Europy. Zarówno na terenach zaboru pruskiego, jak i rosyjskiego obowiązywały inne formy dzierżawienia ziemi.

Olędrzy – Holendrzy – przez swoją religijną i kulturową odmiennąść uznawani byli przez miejscową ludność za obcych. W XVI wieku przeważali wśród nich mennonici, w XVIII w. luteranie. Holenderskość olędrów utrzymywali jedynie mennonici pielęgnujący wiarę przodków i język fryzyjski odmiany *plattdeutsch*.

Wśród polskich chłopów i szlachty olędrzy utożsamiani byli z „obcymi” – Niemcami. Na tych strunach „obcości” grała propaganda pruska w czasie powstania kościuszkowskiego. Zauważył to generał Józef Wybicki, dowodzący wojskami powstańczymi na terenach wchodzących w skład zaboru pruskiego i w swojej odezwie pisał:

„Nieprzyjaciel, zwyczajnego tyranom używając sposobu, rozjątrzył na nas Holendrów, którzy kraj ten nad ponad Wisłą osiedlili. Chciał przez to wojnę domową rozpalić i współbraci naszych na nas uzbroić. Wmówił w nich, że my gorejemy fanatyzmem i okrucieństwem i na nich wystąpienie broń wzięliśmy”. Warto przytoczyć w tym miejscu rezolucję generała Wybickiego skierowaną 18 września 1794 roku do Holendrów: „Bracia wyznania augsburskiego! Bracia zwani Holendrzy! Wmówiono w was, że was zabijać i łupić będziemy, żeśmy się na was do broni wzięli dla tego, że innego od nas religii wyznania i języka jesteście. Patrzcie fałszu tego bezczelność; wszak oycowie wasi żyli z naszymi. Wszak wy z nami. (...) Prowadzą was do nas i określają za szpiegów; my na ten moment surowość okazujemy, ale w rzeczy samej, jako obłąkanych braci,



1. Chór menonitów z Wymysła Nowego, lata 20. XX wieku. Dzięki uprzejmości Colina P. Neufeldta.
2. Rodzina Petera Ratzlafa – ostatniego starszego zboru mennonitów w Wymysłu Nowym, ok. 1900 r. Dzięki uprzejmości Ericha Ratzlafa.
3. Chata „olęderska” z połowy XIX wieku, wieś Zyck. Fot. W. Marchlewski, 1979.
4. Stowarzyszenie młodzieży ewangelickiej w Wymysłu Nowym około roku 1930. Zdjęcie dzięki uprzejmości Colina P. Neufeldta.





5



6



7



8



9



10

- 5-6. Sceny męczeństwa mennonitów w Niderlandach według *Het Bloedigh Tooneel der Drops-Gesinde en Were loose Chreistenen*, Dortrecht 1660.
7. Bracia Schroeder w wojsku polskim. Dzięki uprzejmości Colina P. Neufeldta.
8. Zdjęcie weselne mennonitów z Wymyśla Nowego z lat 30. XX wieku. Dzięki uprzejmości Fredy Klassen z Alberty, Kanada.
9. Mennonita w mundurze niemieckim, 1942 r. Dzięki uprzejmości Colina P. Neufeldta.
10. Mennonici z Wymyśla, lata 20. XX w. Dzięki uprzejmości Colina P. Neufeldta.

przylulamy do serca naszego, zostawiamy przy życiu i własności, a dawszy słodkie napomnienie, naprawiamy was na drogę prawdy i powinności waszej; puszczamy wolnych do domów. Wracamy, co wam gwałt mógł zabrać”.

Trzeci rozbiór Polski przyniósł wielkie zmiany w osadnictwie, również na terenach zasiedlonych przez olędrów uciekających przed represjami z Prus. Na ziemiach zajętych w II i III rozbiórze Prusacy rozwinęli na szeroką skalę akcję osadniczą mającą na celu rozwiązanie problemów przeludnienia wsi. W czasie jej trwania, od roku 1800 przez 6 lat, do Księstwa Warszawskiego na teren departamentu kaliskiego i warszawskiego wysiedlono z Prus 7885 osób. Do potomków osadników holenderskich z XVI wieku dołączyli wtedy prześladowani w Prusach członkowie różnych sekt i grup religijnych. Włączenie ziem polskich w wyniku III zaboru do Prus i Rosji ma również konsekwencje w kwestii nazewnictwa. Z dokumentów oficjalnych zniknęli olędrzy, a w ich miejsce pojawiła się nazwa: koloniści. Dotychczasowe przywileje i akty dzierżawy olędrów straciły moc prawną i zostały zastąpione nowymi aktami, zawieranymi z kolonistami w Prusach, w Imperium Rosyjskim i w Cesarstwie Austro-Węgierskim. Ponownie rozpoczęła się wielka wędrówka ludów. Niemcy z Palatynatu osadzani byli w centralnej Polsce, mennonici z Prus przenieśli się w do Rosji i zasiedlili dolinę Wołgi, niektórzy osiedlili się w Cesarstwie Austro-Węgierskim w okolicach Lwowa. W Imperium Rosyjskim, na terenie ziem polskich potomkowie olędrów – koloniści – byli faworyzowani. W czasach pańszczyzny cieszyli się wolnością osobistą i wyznaniową.

Wojny napoleońskie i utworzenie Księstwa Warszawskiego dla wielu olędrów stało się pretekstem do starań o przywrócenie prawa olęderskiego. Chcieli powrotu do przywilejów związanych z użytkowaniem ziemi oraz zwolnieniem z obowiązku służenia w armii. W pewien sposób się to udało. Mennonitów zwolniono ze służby wojskowej. Na ile ta kwestia była istotna, świadczyć może fakt, że wielu ewangelików próbowało udowodnić, że są pochodzenia mennonickiego i przez przypadek albo niewyjaśnione zrzucenie losu zostali ochrzczeni jako ewangelicy. Sytuacja ta trwała do roku 1874, kiedy to w Cesarstwie Rosyjskim wprowadzono obowiązek służby wojskowej dla mennonitów.

Po I wojnie światowej sytuacja potomków osadników olęderskich – kolonistów, jak ich nazywano w oficjalnych dokumentach – w II Rzeczypospolitej znacznie się zmieniła. Wraz z przyznaniem im obywatelstwa polskiego w roku 1919 podlegali wszelkim prawom i obowiązkom tak jak pozostali obywatele. W kwietniu 1919 roku mennonici wystąpili do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego o zwolnienie ze służby wojskowej. Ministerstwo nie wyraziło zgody, zaczęło jednak rozważać możliwość kierowania mennonitów do

oddziałów sanitarnych. W roku 1929 otrzymali taką zgodę, ale miała ona charakter doraźny ze względu na niemożność zastosowania rozwiązań zaczerpniętych z prawa rosyjskiego w prawodawstwie II RP.

Okolo 1200 potomków Holendrów – mennonitów mieszkało w granicach II Rzeczypospolitej (w tym w granicach powiatu warszawskiego 705 osób). Koloniści w odrodzonym państwie polskim dzielili los innych rolników. Wyróżniali się od polskich gospodarzy tym, że byli od nich bogatsi, pracowitsi i zaradniejsi. Szczególnie widać to było u gospodarzy mieszkających na żyznych terenach zalewowych. Nieco gorzej natomiast wiodło się rolnikom gospodarującym na nieurodzajnych piaskach położonych powyżej tarasu zalewowego Wisły. Warunki życia kolonistów nie zmieniły się znacznie. Podobnie jak we wcześniejszych okresach, podstawą utrzymania było rolnictwo, w którym dominowała produkcja mleka oraz sadownictwo. Koloniści mający większe sady zajmowali się również wyrabianiem marmolad i dżemów oraz produkcją suszu owocowego, które to przetwory cieszyły się wielkim uznaniem cukierników z Warszawy. Nawiązane więzi miały szerszy, nie tylko handlowy charakter. W okolicach Gostynina koloniści oddawali swoje sady w dzierżawę Żydom z pobliskiego miasteczka. Podobnie jak w przeszłości, wsie były samowystarczalne – koloniści w niewielkim zakresie musieli korzystać z usług rzemieślników z małych miasteczek: z Gąbina, Iłowa czy Gostynina. We wsiach kolonistów działały dwa damskie zakłady krawieckie, zakład szewski i kołodziej. Mieszkali tu również stolarze, murarze, dekarze, malarze pokojowi, bednarze, szczotkarze, introligatorzy, fryzjerzy, mydlarze, koszykarze, budowniczy. Pojawili się nawet producenci instrumentów, którzy zaczęli wykonywać gitary, mandoliny i skrzypce. We wsi znajdował się również tartak, młyn, olejarnia i mleczarnia. Problemem, który dotknął mennonitów po I wojnie światowej, był brak możliwości kontynuacji osiedlania się na terenach II Rzeczypospolitej. Stanowiło to poważne utrudnienie dla rozwoju społeczności, ponieważ dorastający mennonici tradycyjnie opuszczali rodzinne domy i zakładali nowe gospodarstwa. Między innymi w ten sposób bronili się przed rozdrobnieniem ziemi. Ponadto nowe państwo nie oferowało im wolności, jakimi wcześniej cieszyli się w Imperium Rosyjskim. Młodzi ludzie coraz częściej zatem decydowali się na emigrację poza kontynent europejski. Pierwszym krajem, gdzie próbowali się osiedlić, była Kanada, a później Paragwaj i Brazylia.

Kwestie tożsamości i identyfikacji mennonitów trudno rozpatrywać w perspektywie mniejszości narodowych w II Rzeczypospolitej. Mieszkali na obszarach, gdzie mniejszość etniczna deklarowała swoją przynależność do narodowości niemieckiej, a za podstawowy wyznacznik uważano język. Na terenie powiatu gostynińskiego na obszarze Powiśla w latach 30. XX wieku działały mniejszościowe organizacje

niemieckie i polskie partie polityczne. Jedne i drugie starały się zjednać etnicznych Niemców. Koloniści stali się szybko przedmiotem zabiegów i manipulacji przede wszystkim dwóch polskich partii politycznych – BBWR-u i OZON-u. Ciekawe jest, że wśród działaczy OZON-u można było odnaleźć wielu mennonitów.

Wraz ze zmianą w relacjach polsko-niemieckich, po dojściu Hitlera do władzy w maju 1933 roku zmienił się stosunek Polaków i władz polskich do kolonistów. Wtedy też doszło do wystąpień antyniemieckich w Łodzi i w Grudziądzu. Wydarzenia 1933 roku wpłynęły również na postawy potomków holendrów – mennonitów. Wcześniej nie identyfikowali się z sąsiadami kolonistami – Niemcami. Represyjna polityka II Rzeczypospolitej po 1933 roku sprawiła, że mennonici zostali potraktowani tak samo jak Niemcy.

Od roku 1933 datuje się również radykalizacja działań po stronie organizacji i partii mniejszości niemieckiej w Polsce – Jungen Deutsche Partei (JDP) i Deutsche Volksverbund (DVV). Istotnym elementem działalności organizacji mniejszościowych były starania o odrodzenie tożsamości narodowej. Należy zauważyć, że kwestia tożsamości dla dawnych ołędów nie była jasna i oczywista. Koloniści deklarowali swoją odrębność religijną i kulturową, co nie znaczyło, że identyfikowali się z ideologią Trzeciej Rzeszy i hasłami głoszonymi na zebraniach DVV czy innych organizacji mniejszości niemieckiej. Organizacje te stały się jeszcze bardziej aktywne w czasie wyborów do władz lokalnych zimą 1938 roku. W latach 1938-39 wyraźnie zintensyfikowały działalność organizacje mniejszości niemieckiej JDP i DVV. Propagowano politykę zjednoczenia, wokół programu nazistów, Niemców żyjących poza granicami Rzeszy – folksdojców.

Faktem jest, że wielu mieszkańców wsi nadwiślańskich, również tych w bliskiej okolicy Warszawy, uważało się za „ludność nadwiślańską”, a nie Niemców. Byli rolnikami lojalnymi wobec władz polskich. Często na spotkaniach organizowanych przez partie mniejszości niemieckiej wyśmiewali lektorów i głośno krzyčili: „Jak komuś niedobrze, to niech jedzie do Niemiec głodować!”.

Zaostrzenie kursu antyniemieckiego władz polskich również w stosunku do etnicznych Niemców mieszkających w granicach II RP nastąpiło w maju 1939 roku. Latem poziom wzajemnej wrogości Polaków i Niemców wyraźnie się nasilił. W prasie polskiej pojawiało się wiele artykułów krytycznie odnoszących się do polityki III Rzeszy, a także do Niemców mieszkających w Polsce. Trudno jest określić, w jakim zakresie artykuły te podsycały nienawiść do Niemców. Wydaje się, że można powiązać ze sobą artykuł zamieszczony w „Dzienniku Bydgoskim” z 11 maja 1939 roku, w którym autorka Zofia Żelska-Mrozowiecka otwarcie wzywała do mordowania przedstawicieli mniejszości niemieckiej w Rzeczypospolitej, a „bydgoską krwawą niedzielą”. W maju 1939 roku

w Tomaszowie Mazowieckim kilkutysięczny tłum zaatakował mieszkających w mieście Niemców. W wyniku zamieszek kilku z nich zabito, a wielu raniono. Doszło również do masowej grabieży mienia niemieckiego w Konstantynowie pod Łodzią. Organy porządku publicznego nie reagowały na te wystąpienia i można nawet stwierdzić, że poprzez swoją postawę zachęcały do podejmowania takich akcji.

Jak w tej sytuacji zachowała się społeczność potomków Holendrów? Mennonici, podobnie jak i inni koloniści, postrzegani byli przez swoich sąsiadów Polaków jako Niemcy. Pomimo tego, że różnili się od niemieckich kolonistów obrzędami religijnymi i językiem, to podlegali tym samym represjom co pozostali etniczni Niemcy mieszkający w Polsce. Mennonici w Polsce również podlegali indoktrynacji propagandy III Rzeszy. Działo się to za sprawą mennonickich kaznodziejów przybywających z Prus. Głosili oni hasła narodowego socjalizmu i lojalności wobec III Rzeszy. W latach 30. XX wieku mennonici w Prusach podlegali bardzo silnej akcji propagandowej III Rzeszy. Pomimo tego, że zasady ich wiary stały w opozycji do głoszonych przez hitlerowskie Niemcy haseł, zrywali z tradycją proveniencji holenderskiej i zaczęli coraz bardziej identyfikować się z Rzeszą. Poczęli prowadzić badania genologiczne, poszukując swoich antenatów wśród czystych rasowo Niemców i pomijając swoje związki z holenderskim przodkami. Sądzić należy, że taka postawa wynikała z czystego koniunkturalizmu. Wsparcie „polityki agresji” reprezentowanej przez III Rzeszę przyczyniało się do rezygnacji z zasady „niestosowania przemocy”, fundamentalnej dla wiary mennonitów.

W sierpniu 1939 roku władze polskie podjęły działania mające na celu „unieruchomienie tak zwanych elementów antypaństwowych”. Na liście tej znalazło się około 14 tys. osób i nie tylko etnicznych Niemców, ale również Ukraińców, Żydów, komunistów. Przewidywano, że osoby z listy „elementów antypaństwowych” zostaną aresztowane, odizolowane lub objęte nadzorem policyjnym. We wrześniu 1939 roku nie udało się aresztować wszystkich z listy. Ci, których pojmano, ruszyli w długi marsz do Berezki Kartuskiej. Spośród 4500 osób na miejsce dotarło jedynie 1500. Oprócz akcji zorganizowanej przez służby bezpieczeństwa, włączyli się do niej spontanicznie Polacy. Podejrzewając wszystkich kolonistów o czynne uczestnictwo w działaniach na rzecz V kolumny, organizowano łapanki i polowania na Niemców. Do symbolu współpracy z wrogiem urosło posiadanie lusterka, którym miano podawać znaki lotnictwu niemieckiemu. Aresztowanych osądzano, a wyroki, zazwyczaj śmierci, wykonywano na miejscu. W najlepszym przypadku pojmanych szpiegów dotkliwie bito. Niemieccy koloniści poczęli organizować się w oddziały samoobrony, aby strzec swoje wsie przed Polakami. To zaś wywołało reakcję ze strony Polaków, którzy owe oddziały samoobrony traktowali jako działania dywersyjne.

Niemcy na noc kryli się w stogach siana lub w ziemiankach z dala od swoich domów, bojąc się, że zostaną okradzeni i zabici. Sytuacja ta trwała do chwili wkroczenia wojsk niemieckich, które koloniści przyjęli z ulgą. Przyszedł czas rewanzu. Zaraz po wejściu oddziałów niemieckich miejscowi Niemcy zorganizowani w oddziały samoobrony poczęli chwytac Polaków czynnie zaangażowanych w działania wymierzone przeciwko Niemcom. Akcja miała z początku charakter spontanicznego odwetu. Ostatecznie na podstawie przesłuchań poszkodowanych Niemców sporządzano listy Polaków, których najczęściej bez sądów rozstrzeliwano.

Już w 1939 roku przeprowadzono akcję spisu wszystkich etnicznych Niemców mieszkających na terenach włączonych do III Rzeszy. Działanie to poprzedziło rozpoczęcie wiosną 1940 roku wpisywanie etnicznych Niemców na Volkslistę. Koncepcja wielkich Niemiec i rasy nordyckiej oraz idea panowania nad światem prowadziła do włączenia do narodu niemieckiego również tych, którzy mieszkali dotychczas poza terenami III Rzeszy, a mających niemiecką świadomość narodową i spełniających kryteria rasowe. Idea rasowa, głoszona przez hitlerowców, spotkała się z akceptacją etnicznych Niemców – większość przyjęła akcję wpisywania na Volkslisty bez sprzeciwu i dlatego przebiegała ona sprawnie i bez większych problemów. Osoby te uzyskiwały wpis bez dodatkowych uzasadnień – wystarczyła jedynie deklaracja. W przypadku mennonitów, którzy również zostali wpisani na Volkslistę, sytuacja nie była do końca jasna. Większość, szczególnie starsze pokolenie, w rubryce narodowość wpisało „Mennoniten”, zaś w rubryce język narodowy – „Plattdeutsche”. Zaraz po wkroczeniu wojsk niemieckich kolonistom zaoferowano pracę w lokalnej administracji, na poczcie, w bankach i w kasach oszczędnościowych. Jak sami zauważali, takich możliwości koloniści nie mieli nawet w czasach pokoju. Mimo że posiadali jedynie podstawowe wykształcenie i niezbyt dobrą znajomość języka niemieckiego, koloniści w pierwszym okresie okupacji wsparli w istotny sposób administrację niemiecką.

Wkroczenie wojsk niemieckich odmieniło los etnicznych Niemców. Poprawiła się znacznie ich sytuacja materialna – przejęli sklepy i domy, z których wypędzono Żydów, a także polskie gospodarstwa. W późniejszym okresie, kiedy na szeroką skalę wprowadzono reglamentację towarów i żywności, otrzymywali znacznie większe przydziały w porównaniu do sąsiadów Polaków. Narzucone przez III Rzeszę standardy życia i wartości stały w jawnej sprzeczności z zasadami wiary wyznawanymi przez mennonitów. Po upływie krótkiego czasu stało się oczywiste, że ludzie, którzy we wrześniu 1939 roku przyjmowani byli jak wybawcy, są wrogami i ciemiężycielami. Mennonici zdali sobie sprawę, że naziści ze swoim aparatem terroru są wrogami Jezusa Chrystusa, a tym samym również Zboru Jezusa Chrystusa.

Rozczarowanie III Rzeszą spowodowało, że wielu z dawnych admiratorów narodu niemieckiego i Adolfa Hitlera poczęło potajemnie działać na rzecz swoich krzywdzonych przez okupanta polskich sąsiadów.

W roku 1941 przyszedł czas, aby spłacić dług zaciągnięty wobec III Rzeszy. Podstawowym obowiązkiem Niemca była przecież służba wojskowa. Najwięcej etnicznych Niemców z terenów należących przed wrześniem 1939 do II RP powołano do wojska w latach 1941-42. Podobnie jak ich sąsiedzi ewangelicy, herenhuci, mennonici walczyli na froncie wschodnim. W pierwszym okresie okupacji do wojska powoływano mężczyzn w wieku od 18 do 25 lat. Potem, wraz z większym zaangażowaniem militarnym na wschodzie, wcielano również mężczyzn starszych, aż do 50. roku życia. Jesienią 1944 roku do wojska i do oddziałów Volksturm powoływano chłopców poniżej 16. roku życia, a także mężczyzn w wieku powyżej 50 lat. W czasie ofensywy styczniowej ponad 50% składu oddziałów liniowych stanowili folksdojczycy z Volksturm.

Wojna wpływała destrukcyjnie na życie religijne potomków olędrów – mennonitów. Ich euforia związana z wkroczeniem Niemców, w tym poprawa poziomu życia, wraz z klęskami na froncie wschodnim przerodziła się w bezgraniczne poczucie beznadziei. Faktycznie przestał funkcjonować zbór mennonitów, brakowało wiernych, w tym przede wszystkim młodzieży, chórzystów oraz starszego zboru. Niektórzy członkowie wspólnoty przystąpili do NSDAP, pojedynczy dołączyli do oddziałów SS i całkowicie odwrócili się od zboru. Coraz rzadziej dochodziło do spotkań w kościołach mennonickich zarówno w Kazuniu, Sadach czy Wymysłu Nowym – wsiach położonych w dolinie Wisły. Okupanci całkowicie zabronili młodzieży mennonickiej organizowania spotkań religijnych, prób chóru czy orkiestry. Mennonici tęsknili za krzepiącą wspólnotą parafialną, bez której stali się samotnymi wojownikami w walce o rozwój życia duchowego. Dla przykładu największe wrażenie na mennonitach wywołało obchodzenie pod koniec roku 1944 w ich kościele w Wymysłu Nowym koło Gąbina przez żołnierzy niemieckich świąt Bożego Narodzenia. Uważali bowiem, że nie godzi się, aby w Domu Pana – tam, gdzie czci się wszechmogącego Boga – czczono i wychwalano człowieka, wodza narodu niemieckiego. Uznano to za przykład pohańbienia Domu Bożego.

Zimą 1944 roku na terenach po lewej stronie Wisły władze okupacyjne przygotowały wielką akcję przesiedlenia kolonistów i Niemców przybyłych na tereny wcielone do III Rzeszy. Akcja ta była dobrze przygotowana; rozpoczęła się na początku stycznia 1945 roku i odbywała się według z góry opracowanych planów. Przygotowano sieć stacji etapowych, w których Niemcy mieli się chronić w czasie ucieczki na zachód lub do Prus Wschodnich, skąd mieli być ewakuowani drogą morską. W pierwszej kolejności ewakuowano matki



z małymi dziećmi, następnie pozostałą ludność niemiecką. W momencie wkroczenia wojsk rosyjskich do wsi zamieszkałych przez kolonistów, pozostali w nich inwalidzi, kobiety, starcy i dzieci, którzy nie zdołali się ewakuować. Pozostali również ludzie uważający, że ich postawa w czasie wojny uchroni ich przed represjami ze strony Polaków.

Zaraz za oddziałami wojsk rosyjskich podążali Polacy, którzy realizowali postanowienia dekretu o środkach zabezpieczających w stosunku do zdrajców narodu. Rozpoczęło się polowanie na folksdojców i Niemców w imię zasady odpowiedzialności zbiorowej. Pojmanych osadzano w zorganizowanych *ad hoc* obozach. Tworzono je bez zgody władz zwierzchnich, które domagały się, aby pojmanych odsyłać do „legalnych” ośrodków. Były to zwykle miejsca, w których wcześniej okupanci więzili Polaków.

Zarówno te nielegalne, jak i legalne obozy w założeniu miały być miejscem odkupienia win oraz źródłem darmowej siły roboczej. W rzeczywistości kierowano tam osoby najbardziej bezradne lub te, które w czasie wojny były lojalne wobec sąsiadów Polaków i niczym im nie zaszkodziły, a nawet pomagały. Więźniów oznaczano, przyszywając do ich ubrań, podobnie jak to czyniono w obozach koncentracyjnych, kwadrat z literą N lub po prostu malując białą farbą na wierzchnich odzieniach wielką swastykę.

Władze centralne zdawały sobie sprawę z istnienia nielegalnych obozów tworzonych przez lokalnych dowódców milicji. Docierały do nich informacje o bestialstwach, jakich dopuszczali się kierownicy ośrodków nimi oraz ich podwładni. Nie podejmowały jednak żadnych działań, aby je zlikwidować. Na przeszkodzie w ich zamykaniu stali funkcjonariusze niższych organów urzędów bezpieczeństwa publicznego, którzy czerpali znaczne zyski z wynajmu więźniów kierowanych do pracy niewolniczej. Każdy kierownik aparatu bezpieczeństwa na szczeblu lokalnym czy powiatowym starał się więc utworzyć obóz pracy, gdyż dawał on wymierny dochód. Uwięzionym tam ludziom nie dawano możliwości ubiegania się o rehabilitację ani nie zezwalano na wyjazd z Polski. W obozach często dochodziło do naruszeń prawa, folksdojce byli np. poddawani wymyślnym torturom. Obozy te funkcjonowały do 1946 roku.

Wraz z normalizacją sytuacji w roku 1946 większość folksdojców została osadzona w obozach zarządzanych przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Więźniowie tylko w części byli osadzeni, gdyż w większości pracowali poza obozami. Trudno jest dzisiaj określić, ilu folksdojców dostało się do obozów, a ilu przebywało na wolności. Nie wiadomo, jakimi kryteriami kierowali się funkcjonariusze MO i UBP w kierowaniu folksdojców do obozów pracy. Władze polskie prowadziły podwójną grę. Z jednej strony starały się za wszelką cenę pozbyć z własnego terytorium niezdolnych do pracy kobiet

z dziećmi i starców, a jednocześnie zatrzymać jak najwięcej zdolnych do pracy Niemców.

Potomkowie dawnych uciekinierów z Niderlandów zdawali sobie sprawę, że to na nich skupi się zemsta Polaków za doznane krzywdy i nieszczęścia. Mieli jednak poczucie niesprawiedliwości, gdyż cierpienia, jakich doznali Polacy, były dziełem nazistów, a nie ich – niewinnych prostych ludzi, którzy również ponieśli wielkie straty w czasie wojny. Masowe wyjazdy osób pozbawionych obywatelstwa polskiego nastąpiły pomiędzy czerwcem a październikiem 1947 roku. Wyjeżdżali folksdojce I i II kategorii, którzy nie mogli liczyć na rehabilitację na podstawie decyzji władz lokalnych. Proces deportacji Niemców w nieco mniejszym nasileniu trwał do roku 1949. W tym czasie mennonitom pozostałym w Polsce starał się pomagać kanadyjski oddział Mennonite Central Committee – organizacja charytatywna, która na mocy porozumienia z rządem polskim niosła pomoc polskim sierocińcom oraz przede wszystkim rolnikom, dając im maszyny, nasiona i bydło. Działający w Polsce aktywiści MCC potajemnie pomagali polskim mennonitom w przedostaniu się na Zachód. Droga wiodła przez Szczecin. Stamtąd przeprowadzani byli przez zaufanych ludzi przez rosyjską strefę okupacyjną i docierali do obozów przesiedleńczych w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Po krótkim pobycie w obozach, na mocy porozumienia z rządem kanadyjskim, przewożono ich do Kanady. Każdy ze starających się o wyjazd musiał uzyskać rekomendację od mennonitów – obywateli kanadyjskich.

Organizacje mennonitów działających na terenie Polski były inwigilowane przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa w Gdańsku, na którego terenie działała placówka MCC, zdawali sobie sprawę z dodatkowej, nielegalnej działalności tej organizacji. Placówka została zamknięta w roku 1948.

Zgodnie z polityką władz polskich, należało się jak najszybciej pozbyć Niemców, byłych obywateli II RP. Mennonici – potomkowie Holendrów z XVI wieku – wyjeżdżali z Polski transportami organizowanymi przez Czerwony Krzyż, a także władze polskie. Ostatni transport, w którym wyjechali ostatni polscy mennonici, odjechał z Warszawy do Niemiec w lutym 1949 roku. Wszyscy, którzy się w nim znajdowali, rzekli się polskiego obywatelstwa, tym samym zrzekając się swoich domów, pól i ogrodów, które przez wieki z takim wysiłkiem uprawiali. Rezygnacja z polskiego obywatelstwa i zadeklarowanie się jako Niemiec były przepustką do wolności. Ale dla wyjeżdżających Niemcy nie były ani ojczyzną, ani ziemią obiecaną.

Mennonici wierzyli, że ich wyjazd do Niemiec jest tylko częścią boskiego planu, przerwą w podróży do miejsca, gdzie osiądą i zazną spokoju i szczęśliwości. W rezultacie podróży, którą przed wiekami rozpoczęli we Fryzji, miała zakończyć się w Kanadzie.

Rondedans

Het is vreemd, maar ik zou willen dat er geen einde meer aan kwam. Dat het verblijf hier eeuwigdurend zou zijn.

Thuis. Wat betekent dat: thuis? De anderen praten nergens anders meer over. Medailles, beloningen: wat een grap.

Alles zal zijn zoals het was. Ik weet dat ik niets bezit dat enigzins van waarde is.

Het enige wat ik er in mijn diepste ellende heb uitgekraamd is boekentaal, gewoon gezwets.

De open zee aan de horizon laat me nu onverschillig, net als de maan daarboven, die me met al haar schijnsel doet denken aan gebakken vis.

Niks aan te doen. Op dit moment zie ik het zo. De zee is snert. Ik heb nu zo, Æon punt van geestelijke verrotting bereikt, dat ik er niet meer warm of koud van word.

Ik heb een mooi touw geslagen en heb er een losse knoop ingelegd en iedere morgen zeep ik het in.

Of ik bid tot God of ik maak er een einde aan. Of ik word gek of pas me aan dit rottige leven aan. Dit is de rondedans die mijn gedachten maken.

Maar ik zal overleven. Het ergste is achter de rug, er is niets meer dat die halfgare ontdekkingsreiziger kan doen om mij in gevaar te brengen.

Hij mag dan zelfingenomen zijn, verblind door ambitie, Æi hij heeft in ieder geval een een doel voor ogen, een reden om te leven.

Er moet een reden zijn, een allesomvattend grondbeginsel.

Voor de een zijn het wapens, voor de ander is het het riskeren van het eigen lijf om de wereldkaart te ontsluiten en zijn eigen naam in de geschiedenisboeken te krijgen.

En voor mijzelf? Overleven alleen is niet genoeg. Een hond kan overleven, een vlieg. Er moet meer zijn!

Taniec wkoło

To dziwne, ale chciałbym, żeby to się nigdy nie skończyło. Żeby nasz pobyt na pokładzie trwał wiecznie.

Dom. Co to znaczy: dom? Inni już nie mówią o niczym poza tym. Medale, nagrody – to śmieszne.

Wszystko będzie jak zawsze. Wiem, że nie posiadam nic, co byłoby cokolwiek warte.

Jedyną rzeczą, którą się wykazałem w swej najgłębszej niedoli, jest książkowy język, zwykły bełkot.

Otwarte morze aż po horyzont, jest mi teraz obojętne, tak jak księżyc nad nami, z całym swym blaskiem, przychodzi mi na myśl tylko smażoną rybę.

Nie mogę nic z tym zrobić. W tym momencie tak to widzę. Morze jak grochówka. Osiągnąłem taki poziom duchowej zgnilizny, że ani mnie to grzeje, ani ziębi.

Ukręciłem sobie ładny sznur z pętlą i smaruję go codziennie rano.

Albo się będę modlił do Boga, albo z tym skończę. Albo zwariuję, albo przyzwyczaję się do tego podłego życia. Tak oto tańczą wkoło moje myśli.

Ale przeżyję. Najgorsze za mną, ten na wpół upieczony odkrywca nie może mi już zagrozić.

Może być zarozumiały, zaślepiony ambicją, ale przynajmniej postawił sobie jakiś cel do osiągnięcia, ma jakiś powód do życia.

Musi być jakiś powód, jakaś wszechogarniająca zasada.

Dla jednego to broń, inny ryzykuje życie, żeby opisać go w kronikach.

A dla mnie? Przeżyć to nie wszystko. Przeżyć może pies, pchła... Musi być coś więcej!

RONDEDANS



Źródło tekstu *Rondedans*: album *Gaaphonger* (1997) holenderskiego zespołu de Kift.

Gaaphonger jest poetycką interpretacją historii nieszczęśliwej podróży – misji załogi holenderskiego statku w 1596, który utknął u wybrzeży arktycznej wyspy Nova Zembla w poszukiwaniu handlowego szlaku do Indii wiodącego przez biegun północny, alternatywy dla drogi południowej, kontrolowanej przez Portugalie.

Opracowanie tekstu *Rondedans* na podstawie utworów T.C. Boyle'a i C. Pavese: Ferry Heijne.

Tłumaczenie na język polski: Natalia i Assi Kootstra.

(Na rowerach) Assi Kootstra i Piotr Aleksandrowicz podczas performance'u *Rodedans*. Fot. Natalia Kootstra.